ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 1 (1366) Piątek, 1 stycznia 1965 r. Cena 45 gr.

Warszawa, ul. Mokotowska 24

HALO, MECZ MÓZGÓW!

MECZ MÓZGÓW 65

Na skutek złego (niestety) wydrukowania rysunku do zadania za 40 pkt — **zadanie to unieważniamy.** Tak więc pierwsza połowa Meczu Mózgów składa się **tylko z 11 zadań.**

Przypominamy: termin nadsyłania rozwiązań mija **5 stycznia br.** Nawet jeśli rozwiążesz nie wszystkie zadania — weźmiesz udział w losowaniu nagród. A więc jak najszybciej przyślij kupon konkursowy. Jeśli na kuponie nie zmieści się to, co chcesz napisać — resztę napisz na dodatkowej kartce. Czekamy!

Zostań detektywem!

Noworoczny Konkurs PZU i „Świata Młodych"

Jedyna okazja! Możesz zostać detektywem a równocześnie wylosować jedna z następujących nagród:

5 radioodbiorników „Zrób to sam".
4 kolejki na baterie z elektrowozem.
5 piłek nożnych.
5 plecaków,
5 zestawów narzędzi stolarsko - ślusarskich.
10 torbo - plecaków,
5 budzików.

Wszystkie nagrody zostały zakupione z Funduszu Prewencyjnego Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Domu Handlowym Centralnej Składnicy Harcerskiej.

Pamiętaj!

. Detektyw to człowiek, który nie tylko wykrywa przestępstwa. On również stara się im zapobiec.

PZU nie tylko wypłaca odszkodowania. PZU wiele też robi, żeby zapobiec nieszczęśliwym wypadkom.

Konkurs — patrz str. 3

E1/66

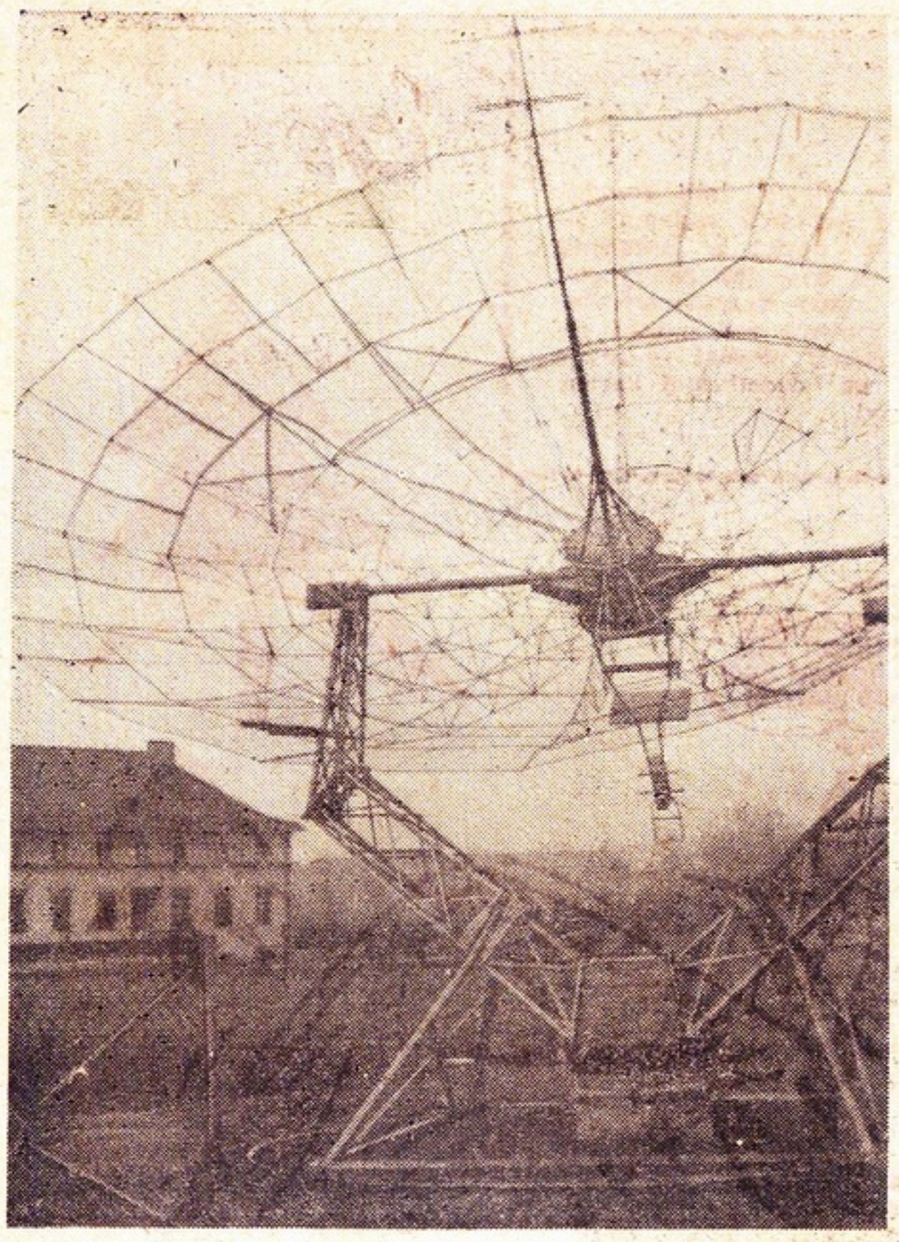

Tak wygląda antena radioteleskopu skonstruowanego przez toruńskiego astronoma — docenta Gorgolewskiego. Szesnastometrowa czasza anteny odbiera dziennie setki sygnałów z Kosmosu.

ZAPIS Z ODLEGŁEJ GALAKTYKI

OBSERWATORIUM Astronomiczne imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu znajduje się w odległości kilkunastu kilometrów od miasta. Na rozległym płaskim terenie wznoszą się najprzeróżniejsze urządzenia służące do badania Kosmosu. W specjalnych okrągłych budowlach znajdują się teleskopy. Jeden z nich to prawdziwy olbrzym. Nic dziwnego, że można nim zajrzeć tam, gdzie oko nie zajrzy — odkryć to, czego żadne oko nie jest w stanie odkryć. Dzięki tym właśnie „kosmicznym oczom" stwierdzono, że nasza Galaktyka nie jest samotna w Kosmosie, że towarzyszą jej miliony innych Galaktyk, oddalonych od naszej Ziemi o miliony i miliardy lat świetlnych. Ale nie teleskopy i lunety zainteresowały mnie najbardziej...

Na terenie obserwatorium ujrzałem najdziwniejszych kształtów anteny. Rozciągają się one, jak okiem sięgnąć. Są rozpięte kilka metrów nad ziemią. Ponad to kłębowisko drutów i prętów strzela w niebo wielki radioteleskop! Średnica jego wklęsłej czaszy wynosi 16 metrów!

Słyszałem o radioteleskopach wiele. Wiedziałem, że dzięki tym urządzeniom, obserwatoria astronomiczne na całym świecie odbierają dziennie z Kosmosu setki i tysiące sygnałów, które już nieraz wprawiały naukowców w zdumienie.

Przy radioteleskopie spotykam docenta dr Stanisława Gorgolewskiego. Jest on radioastronomem. Zajmuje się promieniowaniem radiowych ciał niebieskich. W dodatku jest konstruktorem radioteleskopu, który właśnie podziwiam.

— Czy odebrałem już jakieś sygnały z odległych Galaktyk, które mogłyby świadczyć, że nadały je istoty rozumne?... Jeszcze poczekajmy, nie spieszmy się. Nasza radioastronomia jest taka młoda. Liczy sobie kilka zaledwie lat, a sygnały radiowe z Kosmosu biegną do nas dziesiątki milionów lat! Ale coś panu, redaktorze, pokażę.

Idziemy do budynku, gdzie znajdują się gabinety naukowe radioastronomów. W jednej z pracowni mgr Zygmunt Turło przegląda cierpliwie długie pasmo pokratkowanego papieru. Widnieje na nim jakaś tajemnicza linia zapisu. Nie jest ona jednostajna. W niektórych miejscach biegnie równo, często jednak gwałtownie skacze, zakreślając ostre zygzaki.

— Na tych pasmach papieru nasze radioastronomiczne urządzenia zapisały fale radiowe z Galaktyki „Virgo A", która jest oddalona od naszej Ziemi 40 milionów lat świetlnych!

— A tutaj mamy zapis radiowy z „Cygnusa". Ta Galaktyka jest od nas odległa o 200 milionów lat świetlnych...

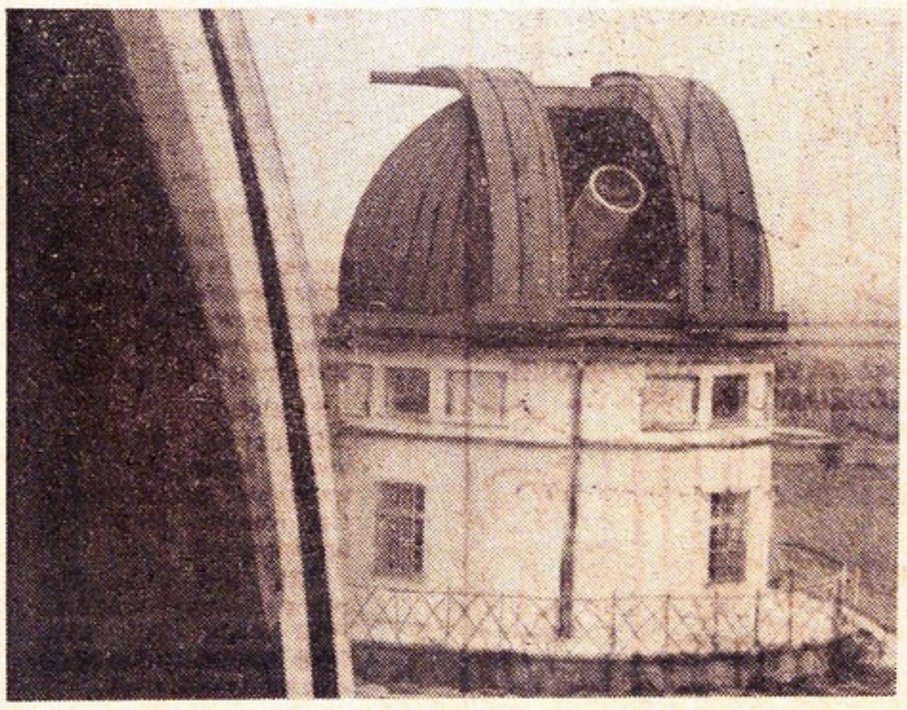

Potężna rura teleskopu - olbrzyma wychyla się ze szczeliny kopuły. Obserwacja trwa!

Próbuję sobie te odległości jakoś przeliczyć na nasze ziemskie miary. Światło, podobnie jak fale radiowe, biegnie z szybkością 300 tys. km na sekundę. W ciągu roku może ono przebyć drogę wynoszącą 9.400.000.000.000 km — czyli 9 bilionów 400 miliardów km. Tę odległość należałoby więc jeszcze pomnożyć 40 lub 200 milionów razy! Tak, te cyfry dają pojęcie o ogromie Wszechświata. Są zarazem dla nas cyframi bardzo abstrakcyjnymi.

— Proszę jednak nie wysnuwać z tych zapisów rewelacyjnych wniosków — uśmiecha się docent Gorgolewski. — To na pewno nie są sztuczne sygnały, wysłane przez mieszkańców obcych Galaktyk. W zasadzie każde ciało niebieskie po prostu promieniuje fale radiowe.

— Więc rzeczywiście jesteśmy sami w olbrzymim Wszechświecie?... Chyba nie! Takie warunki klimatyczne jak na naszej Ziemi mogą przecież istnieć i na innych odległych planetach. I tam mogło powstać życie!

— Pewnie — zgadza się ze mną docent.

— Więc dlaczego oni tak milczą?

A skąd można wiedzieć, że Wszechświat milczy? Może ktoś tam już nieraz wysyłał sygnały na Ziemię, które wciąż jeszcze biegną w przestrzeni kosmicznej. Zresztą może już dotarły, tylko my wtedy nie mieliśmy odpowiednich urządzeń rejestrujących, nie mieliśmy radia...

Docent Stanisław Gorgolewski milknie na chwilę...

— Nasza planeta jest takim małym pyłkiem w Kosmosie, że może nikt jeszcze w Wszechświecie nie zwrócił na nas uwagi! Sami musimy się stać bardziej aktywni. Zresztą z roku na rok świat idzie naprzód. Księżyc, Wenus, Mars... te planety poznajemy coraz lepiej. Natomiast inne Galaktyki poznamy dokładniej, gdy założymy obserwatorium astronomiczne na Księżycu!...

W pracowni toruńskich radioastronomów trwa odkrywcza pionierska praca. Mgr Zygmunt Turło przegląda wciąż nowe odcinki pozaziemskich zapisów radiowych. Docent dr Stanisław Gorgolewski spogląda przez okno na swój radioteleskop, który przeważnie jest wycelowany w Słońce.

— Słońce to nasz najważniejszy „obiekt" obserwacji — uśmiecha się docent Gorgolewski. — Interesuje nas pod każdym względem. Badamy plamy słoneczne, rejestrujemy intensywność promieniowania radiowego, rejestrujemy każdy wybuch na Słońcu.

— Czy te badania są aż tak ważne?

— To jest praca niezbędna. Ustalamy kosmiczną pogodę! Interesują się nią naukowcy z całego świata i kosmonauci. Każdy wybuch na Słońcu wyrzuca w przestrzeń kosmiczną miliony ton gazów i najprzeróżniejszych cząsteczek. Stanowią one wielkie niebezpieczeństwo dla lotów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej statków z załogą. Od Słońca więc wiele zależy, w jakich terminach odbędą się loty kosmiczne.

Rozumiem, dobrze, rozumiem, że praca badawcza toruńskich radioastronomów jest bardzo potrzebna. Dobrze, że wyniki tych prac są przekazywane natychmiast całemu światu. Zresztą świat czeka na wyniki tych badań.

Z. PAWŁOWSKI

Foto: W. Hudon

Ten teleskop jest największym w Polsce. Przy jego pomocy na fotograficznej kliszy astronomowie utrwalają obrazy dalekich Galaktyk.

UWAGA DRUŻYNA

Harcerski dzień

W wielu szkołach przez całe ferie organizowane są zabawy i zajęcia.

Warto w porozumieniu z panem kierownikiem, albo nauczycielem, który ma dyżur, ustalić, że przez jeden, lub dwa dni harcerze będą gospodarzami zajęć. Do takiego harcerskiego dnia każdy zastęp przygotowuje się szczególnie starannie i przychodzi z dokładnie przemyślanym programem. Harcerze w tym dniu organizują dla wszystkich: wycieczkę za miasto, saneczkowy tor przeszkód, gry w świetlicy, konkursy itp. zajęcia.

Harcerski dzień powinien być bardzo wesoły i dobrze zorganizowany, żeby każdy sobie pomyślał: „Warto być harcerzem".

UWAGA ZASTĘP

„Złoty Krążek" znów się toczy

Już chwycił mróz. Warto pomyśleć o lodowisku na waszym podwórku. Tym bardziej ,że zaraz po feriach we wszystkich szkołach rozpoczną się Igrzyska Zimowe, a w ramach Igrzysk potoczy się walka o „Złoty Krążek Świata Młodych".

Szkoda więc każdego dnia bez treningu, a trening — to ćwiczenie jazdy tyłem, prowadzenie krążka hokejowego, slalom.

Krążek można wyciąć z byle jakiej grubej gumy, kijek zrobić z odpowiednich patyków, a zamiast tyczek do slalomu można usypać ze śniegu pagórki.

Na czyim podwórku zrobić lodowisko? Tam, gdzie mieszka najwięcej harcerzy z waszego zastępu, tam, gdzie są najlepsze warunki. Wszyscy pozostali — oczywiście pomagają.

Ciekawe, do jakiej szkoły w tym roku potoczy się nasz „Złoty Krążek?".

UWAGA ZASTĘP

Czyj najładniejszy?

Kiedy śnieg jest mokry, trudno jeździć na sankach czy nartach, ale za to świetnie można lepić bałwany. Warto więc w takim dniu zorganizować konkurs na najlepiej ulepionego bałwana. Zastęp może taki konkurs zorganizować na podwórku (dla wszystkich dzieci), na górce za miastem, gdzie przychodzi się jeździć na sanki i narty, lub w szkole.

Do sądu konkursowego, dobrze jest zaprosić dorosłych. Nagrody stanowić będą drobiazgi wykonane uprzednio przez harcerzy na zbiórce zastępu (zakładki do książek, zabawki), albo zebrane wśród harcerzy przeczytane już książki.

KONKURS: ZOSTAŃ DETEKTYWEM!

WARUNKI KONKURSU

Na konkurs składa się 5 tropów czyli 5 zadań.

Zadania trzeba rozwiązywać w tej kolejności, w jakiej są ponumerowane. Każde rozwiązanie stanowi część zaszyfrowanego meldunku, który musisz przesłać do redakcji „Świata Młodych", w terminie nie późniejszym aniżeli 10 styczeń 1965 r. Liczy się data stempla pocztowego.

Przykład (oczywiście zmyślony) szyfru:

9 Basia W Zające 7.

Wśród autorów prawidłowo ułożonego szyfru zostanie rozlosowanych 39 nagród. Jakie? Przeczytaj na pierwszej stronie naszej gazety.

Uwaga: rozwiązania należy pisać na kartach pocztowych, nalepiając przy szyfrze znaczek PZU, wycięty z choinki.

TROP PIERWSZY

NIEBEZPIECZNA ŚWIECZKA

JESZCZE wczoraj Heniek fotografował tę choinkę. Dziś nie ma po niej śladu. Spaliła się od źle umieszczonej świeczki. Wiadomo, że pożar wywołała tylko jedna świeczka. Wszystkie pozostałe umieszczono w bezpiecznej odległości od gałęzi i papierowych zabawek.

Która świeczka wywołała pożar? Powiększyliśmy fragment fotografii, zrobionej przez Heńka, a świeczki ponumerowaliśmy. Przypatrz im się dobrze. Jeśli wpadłeś już na właściwy trop, zapisz sobie odpowiednią cyfrę. To będzie początek szyfru do redakcji.

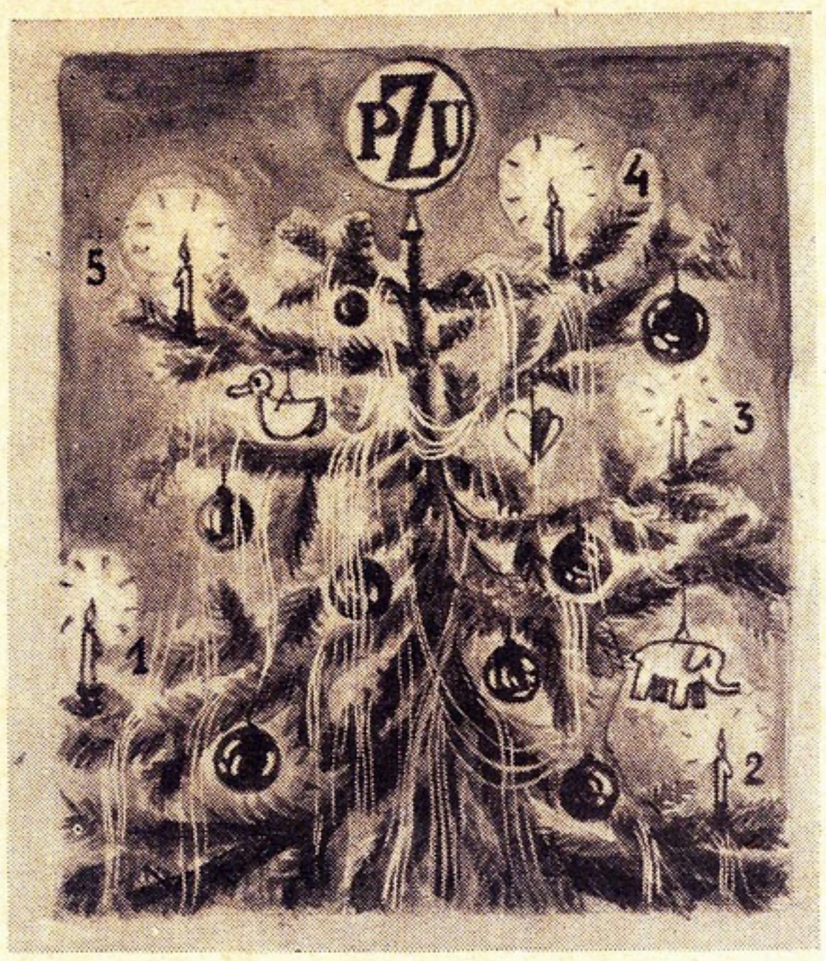

TROP DRUGI

ZŁAMANE SANKI

NARESZCIE spadł śnieg. Sypał cały wieczór, całą noc i dopiero nad ranem przestał padać. Niedaleko naszego domu jest górka. W samo południe wybrałem się tam na sanki. Na górce było już dużo chłopaków i dziewcząt. Z naszego domu było nas pięcioro: Leszek, Wanda, Wacuś, Hania, no i ja. Droga była już wyślizgana, więc sanki dobrze niosły. Potem Leszek i jeden chłopak z sąsiedztwa usypali skocznię. Dziewczęta się bały, ale każdy chłopak chciał jak najwyżej skoczyć. Wacuś, że najmniejszy, początkowo hamował przed skocznią, ale Leszek go wyśmiał, więc nawet on jeździł już potem na cały gaz.

Po obiedzie znów przyszliśmy na górkę. Ale niektórym się znudziło tak jeździć w kółko. Wtedy Leszek zaproponował:

— Chłopaki! Jedziemy się ścigać po Polnej.

Kiedy tam poszliśmy zrobił się już wieczór i chwycił mróz. Ulica była pokryta ubitym śniegiem. Miejscami to był nawet lód. Polna, to stroma ulica, więc każdy bał się jechać, ale nikt nie chciał tego pokazać po sobie. Pierwszy zjechał Leszek. Kiedy sanki zniknęły za zakrętem, długo Leszka nie było widać. Myśleliśmy nawet, że coś mu się stało. Ale nie! Wreszcie wrócił i zaczął zachwalać, jak to się morowo i daleko jeździ. Teraz już wszyscy zaczęliśmy się ścigać. Tylko Wacuś siedział na sankach. Co zjechał kawałek, to zatrzymywał sanki i znów wracał na górę.

— Mama mi nie pozwala jeździć po ulicach — tłumaczył, kiedy wszyscy chłopcy z niego się śmiali.

Nagle Leszek pchnął sanki Wacusia. Teraz już nie udało mu się zatrzymać i pojechał w dół. Wtedy ustawiliśmy sanki, jedne za drugimi i ruszyliśmy za nim.

Leszek szybko minął Wacusia i teraz ja jechałem jako trzeci. Nagle, kiedy minęliśmy zakręt, zobaczyłem samochód. Skręciłem gwałtownie w bok. Ale Wacuś nie umiał tak dobrze kierować sankami. Szczęście, że samochód jechał wolno, bo pod górę, a pan Kowalski, to dobry kierowca.

Wacuś potłukł się jednak a i sanki były całkiem połamane.

Kazik Drewnowski
Sułbierzyce

Skoro przeczytaliście już list Kazika, to teraz musicie rozstrzygnąć, kto był sprawcą wypadku? Jego imię, będzie stanowić drugi człon szyfru.

TROP CZWARTY

LEWA CZY PRAWA?

KIEDY wysiedli z pociągu, zastępowi zarządzili zbiórki swoich „Wilków" i „Wiewiórek". Obydwa zastępy szybko ustawiły się w szyku marszowym, przypięto narty i ruszono ośnieżoną drogą, biegnącą przez pola, do widniejącej w oddali wioski. Tam mieli spędzić 6 dni na zimowisku. Pierwszym zimowisku w historii drużyny.

— Idziemy lewą stroną drogi! — zawołały „Wiewiórki".

— Co, wy! Angielki z Kołomyi. U nas przecież jest prawostronny ruch, więc oczywiście idziemy prawą — sprzeciwiły się „Wilki".

— E! Tam! Za miastem idzie się zawsze po lewej stronie, żeby z daleka zobaczyć nadjeżdżający pojazd.

— Może u was, ale w Polsce chodzi się prawą. Idziemy, chłopaki!

— Nie! Lewą! My pójdziemy lewą stroną!

I tak ruszyły w drogę obydwa zastępy. „Wiewiórki" lewą stroną, „Wilki" — prawą.

Po drodze minęło ich auto M. O. Z samochodu wysiadł porucznik z Kompanii Ruchu M. O. i wytłumaczył zastępowym, że tylko jeden zastęp idzie prawidłowo. Drugi zastęp, jak niepyszny przeszedł na drugą stronę szosy.

Dopisz teraz do szyfru - rozwiązania czwarty człon. Będzie nim nazwa zastępu, który od początku szedł prawidłową stroną szosy.

TROP TRZECI

KRONIKA DRUŻYNY

PO feriach każdy zastęp narysował w kronice drużyny najweselszą zbiórkę. Kiedy drużynowy przejrzał kronikę, aż złapał się za głowę.

„Jakie szczęście, że tym razem skończyło się bez żadnego wypadku" — pomyślał. Długo też potem rozmawiał z jednym z pięciu zastępów, tłumacząc chłopcom, na jak wielkie narażali się niebezpieczeństwo. Który był to zastęp? Spójrz na rysunki z kroniki. Wypisz numer tego zastępu i wpisz go do szyfru. To będzie trzeci człon meldunku, jaki prześlesz do redakcji.

TROP PIĄTY

ROZRYWKA Z BUDZIKAMI

OD dwóch miesięcy „Świat Młodych" drukuje „rozrywki z budzikiem" a Państwowy Zakład Ubezpieczeń z funduszu prewencyjnego kupuje nagrody dla zwycięzców.

Dziś więc na zakończenie naszego konkursu dla detektywów trop zaprowadził nas do sklepu z zegarkami. Spójrz! Tylko dwa z nich wskazują jednakową godzinę. Stanowi ona ostatni człon naszego szyfru.

KONKURS SKOŃCZONY!

Pięknie dziękujemy PZU za ufundowanie cennych nagród, a naszym Czytelnikom życzymy wesołej zabawy i... szczęścia przy losowaniu nagród.

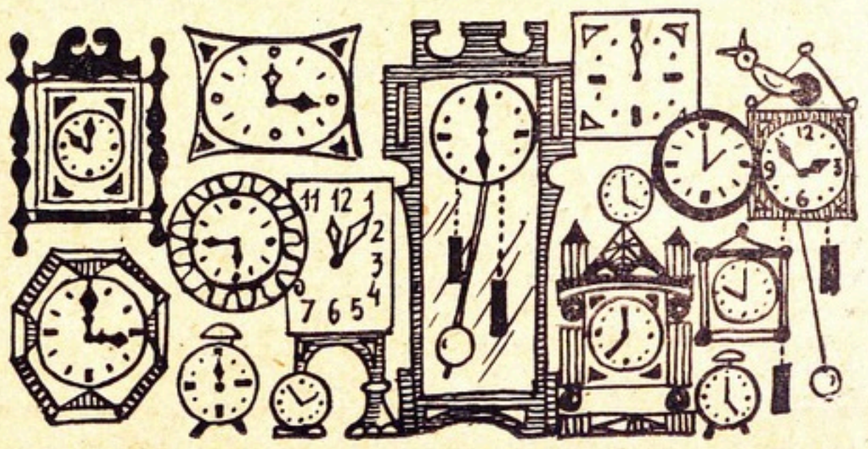

DZIEWCZĘTA w białych CHUSTACH

Taniec i piosenka to jedna z wielu pasji dziewcząt Moniki. Trzeba przyznać, że wszystko, za co się biorą, wykonują wzorowo.

WYSZŁY po mnie całą grupą, może z dziesięć dziewcząt. Muszę się przyznać, że sam nigdy bym do nich nie trafił, bo spróbujcie znaleźć jakiś adres w Nowej Hucie. Ulice miasta nie mają nazw (poza nielicznymi wyjątkami), są natomiast nazwy osiedli, zresztą bardzo ładne: Zielone, Sportowe, Słoneczne...

Ale osiedle to przecież nie jedna ulica.

Nieopatrznie powiedziałem głośno, co myślę o tym nowohuckim labiryncie, i od razu naraziłem się „swoim" przewodniczkom.

— To nieprawda, nasze miasto jest najprzejrzystsze i najładniejsze pod słońcem! — dowodziły uparcie. — „Dowodzenia" ich były „ciut" przygłośne, bo aż się ludzie za nami oglądali. Na szczęście doszliśmy do celu, czyli do rezydencji 209 Drużyny Harcerek.

Salon w byłej pralni

PO SCHODKACH zeszliśmy do piwnicy. Dopóki nie weszliśmy do środka salonu, odniosłem nie najlepsze wrażenie, ot coś podobnego, kiedy się schodzi do podziemi. Nastrój zmienił się od razu, gdy przestąpiłem próg.

— Proszę, druh, się rozbierze, jest szatnia! — zaprosiły uprzejmie.

Z szatni weszliśmy do salonu, czyli właściwej harcówki. Umeblowanie raczej skromne, kilka zaledwie ławek ustawionych pośrodku w wielokąt. Mimo to pokój stwarza przyjemną atmosferę. Ściany zdobią obozowe trofea. Jest na przykład pomysłowe „Słoneczko", czyli tablica ogłoszeń, zrobiona z jednego kawałka kory. Jest również śmieszny kosz na śmieci (też z kory), przedstawiający leśnego wielkoluda. Na jednej ze ścian wisi „buzdygan" wystrugany z dziwnej narośli na gałęzi. Ten „buzdygan" to podobno oznaka władzy drużynowej, jakby jej berło. Okna zdobią kolorowe firanki, w kącie wielki wazon i proporczyki, na ścianach pamiątkowe, obozowe chusty, słowem znać wszędzie babskie ręce, które z niczego potrafią zrobić tak, żeby było przyjemnie.

Po tych wstępnych „oględzinach" rozpoczęła się zbiórka. Dziewczęta zaprosiły mnie do kręgu. Stanęliśmy w dużym kole, trzymając się za ręce. Zaczęły śpiewać piosenkę. W ten sposób rozpoczynają każdą zbiórkę (i w ten sam sposób kończą). Później zbiórka zastępami, raporty itp.

Wszystko szło sprawnie, znać, że dziewczęta przyzwyczajone są do porządku i pielęgnowania tradycji swojej drużyny.

I to mi się u nich najbardziej podobało. Ale nie tylko to.

W tytule napisałem, że salon mieści się w byłej pralni. To jest prawda. Dziewczęta opowiedziały mi o tym bardzo dokładnie. Zaczęło się od tego, że na początku obecnego roku harcerskiego drużyna została bez dachu nad głową. Dawną harcówkę, którą miały w szkole, musiały oddać na salę lekcyjną. Dokąd przygrzewało słońce, nie było problemu. Zbiórki odbywały się na świeżym powietrzu. Kłopot zaczął się później, kiedy jesienne deszcze „wpędziły" druhny do domów. I nie wiadomo, co byłoby dalej, gdyby nie detektywistyczny umysł Krysi Mituniewicz — zastępowej „Białych Mew". Wywiedziała się na Osiedlu, że w jednym z bloków jest wolna pralnia. Z nowiną pobiegła od razu do Moniki (drużynowej). Później zebrała się cała „starszyzna", czyli wszystkie zastępowe, i zaczęły radzić, co robić, żeby otrzymać tę pralnię. Po wielu perypetiach zdobyły odpowiednie pisma ze szkoły, z hufca i tak uzbrojone w dokumenty poszły do administracji Osiedla.

— Rozumiemy wasze kłopoty, ale ta pralnia jest w okropnym stanie, a na odnowienie nie mamy funduszów — oświadczyła uprzejmie pani administratorka.

— Same sobie wszystko zrobimy, tylko pozwólcie się nam wprowadzić.

— Co, z waszymi rękami, lepiej zostawcie taką robotę chłopakom — odradzała dalej pani administratorka. Upór dziewcząt jednak zwyciężył. Dostały klucze i zabrały się do roboty. Przez miesiąc harowały ciężko, ale udowodniły wszystkim, że dziewczęta potrafią sobie świetnie poradzić nawet z „męską" robotą.

Jak mi opowiadały, obecny stan harcówki, to dopiero początek. W przyszłości mają zamiar urządzić jeszcze (w obecnej szatni) turecką herbaciarnię, w której będzie się siedziało na poduszkach i oczywiście popijało herbatkę.

Najmłodsza drużynowa w Nowej Hucie

JEST ich wszystkich 38. Niby niewiele, ale zna ich całe miasto. Prezentują się zresztą świetnie. Zawsze są „odpalone" na sto dwa. Białe kołnierzyki przy mundurkach, białe mankiety i nawet białe chusty to ich strój codzienny.

Całą tą gromadką „dowodzi" Monika, szczupła blondynka z prosto obciętymi włosami. Monika jest niewiele starsza od swoich dziewcząt. Ale, co ciekawsze, kieruje drużyną już od dwóch lat! I to jak kieruje! Nawet niektórzy harcmistrze mogliby się czegoś od niej nauczyć (Monika jest bez żadnego stopnia instruktorskiego, bo na takowy jest podobno za młoda).

Tajemnicę sukcesów Moniki „rozgryzłem" dopiero później. Okazuje się, że wszystkie dziewczęta z jej drużyny znają się od lat, że mieszkają blisko siebie. Monika też chodziła do tej samej „podstawówki", do której uczęszczają obecnie jej druhny. Była najpierw zwykłą harcerką, później zastępową, przyboczną, no i obecnie od dwóch lat drużynową. Dziewczęta nie traktują Moniki jak „pani od harcerstwa". Jest po prostu ich starszą koleżanką. Mówią jej zresztą po imieniu. Zwierzają się z kłopotów i w ogóle nie mają przed nią tajemnic.

Latem — turystki, zimą — artystki

MUSZĘ wam jeszcze opowiedzieć, czym zajmują się dziewczęta tak na co dzień, urządzanie harcówki zdarza się przecież raz na jakiś czas. Nie będę wspominał o takich sprawach, jak zdobywanie sprawności, czy „udzielanie" się w związku z różnymi świętami w szkole, bo to na ogół robią wszyscy. Wspomnę tylko o dwóch ich pasjach:

Dziewczęta Moniki upodobały sobie w okresie letnim wędrówki. Niby taka zwyczajna rzecz, ale u nich wygląda to zupełnie inaczej. W każdą sobotę lub w niedzielę towarzystwo zbiera się razem, z plecakami, z dziesięcioma złotymi w kieszeni, i wyrusza w drogę. Czasem pieszo, czasem autobusem, albo po prostu pociągiem. Co robią na takich wyprawach? Zwyczajnie, chodzą, patrzą, pitraszą biwakowe potrawy, śpiewają. Dzięki tym wędrówkom okolice Krakowa dziewczęta znają jak przysłowiową, własną kieszeń.

A zimą? Co wtedy robią? Okazuje się, że i na tę porę roku mają własne hobby. Wszystkie lubią śpiewać, tańczyć, przedstawiać — zresztą jak wszystkie dziewczyny. Monika zabawia się więc na zbiórkach ze swoją gromadą w „artystki". W ubiegłym roku przygotowały na przykład widowisko, w którym przy pomocy inscenizacji, piosenek i tańców przedstawiły poszczególne regiony Polski. Ponieważ potrzebni byli do tego widowiska chłopcy — „wypożyczyły" ich sobie „po znajomości".

Po raz pierwszy zademonstrowały swój program artystyczny (z duszą na ramieniu) na specjalnym festiwalu zespołów harcerskich, organizowanym przez hufiec. I zdobyły pierwsze miejsce. W tym roku również przygotowują się do festiwalu, ale o szczegółach nie chcą na razie mówić.

Na zakończenie chcę jeszcze dodać, że dziewczęta w białych kołnierzykach starają się zdobyć w tym roku tytuł drużyny sztandarowej.

I chyba zdobędą!

Tekst i foto
ST. BOROWIECKI

Ta najwyższa pośrodku to Monika Sikora, najmłodsza drużynowa w Nowej Hucie. Drewniany „buzdygan" (trzyma w ręku) stanowi symbol jej władzy". Dlaczego? Tak się po prostu umówiły.

ALBUM ODKRYĆ I WYNALAZKÓW

ODKRYWCY KAMERUNU: W latach 1882 — 1883 wyruszyła w głąb nieznanego afrykańskiego kraju polska wyprawa badawcza. W wyprawie tej wzięli udział trzej Polacy: Stefan Rogoziński, Klemens Tomczek i Leopold Janikowski. Dzisiejszy Kamerun — położony w zachodniej Afryce — przed wyprawą polską nie istniał na mapach świata. Wyniki naszej wyprawy do Kamerunu były bardzo bogate. Polacy sporządzili dokładną mapę tego kraju, zbadali jego florę, i faunę a nawet przeprowadzili badania geologiczne. Dzięki nim z map świata zniknęła jeszcze jedna biała plama. Po powrocie wyprawy z Czarnego Lądu do Europy, muzea: w Warszawie, Krakowie i Londynie, wzbogaciły się o nowe zbiory przyrodnicze, etnograficzne i antropologiczne z dalekiego Kamerunu. O nowo odkrytym kraju Polacy napisali szereg dzieł naukowych.

(67) Wyd. „Świat Młodych" — 1965 r.

Z „salonu" harcerek (powstałego w dawnej pralni) korzystają także zuchy. Na jednej ze ścian wiszą laleczki zrobione pomysłowo z deseczek. Każdy zuch ma swoją laleczkę. Jest to jakby ich księga obecności, bo każdy zuch sam stawia znaczek, jako dowód że był na zbiórce.

MAKARY i GÓRA

CIĄG DALSZY ZE STR. 6

zwodzony. W korytarzach i krużgankach słychać było tylko ciche szuranie bamboszów.

Wszyscy przyzwyczaili się do ciszy. Nawet koguty, które dawniej piały wczesnym rankiem każdego dnia, zdumione całodziennym spokojem, zrezygnowały ze swoich obowiązków.

I nie wiadomo, do czego by to mogło doprowadzić...

Ale na szczęście pewnego wieczoru kilkutygodniową ciszę rozdarł nagle straszliwy wrzask. Drzemiące kuchciki pospadały z pieca na podłogę, mleko w stągwiach natychmiast skwaśniało, kury w kurniku zniosły ze strachu po trzy jajka każda, czym pobiły zapewne rekord świata w znoszeniu jajek na czas.

To wrzeszczał dzielny rycerz Makary:

— Mam! Znalazłem! Drewniaki uratowane! Szybko dajcie mi ich wójta!

Wójt czekał na tę chwilę od kilku tygodni. Konferencja z Makarym trwała do wczesnego ranka, kiedy to uradowany posłaniec wyjechał z tajemnym poleceniem.

Kuźnia na szczycie baszty?

OTÓŻ to właśnie. Gdy tylko uradowany wójt powrócił, zaczęto w pośpiechu przenosić przywiezione przez niego skrzynie na szczyt najwyższej w zamku baszty. Potem sprowadzono: najlepszego w okolicy kowala, dwóch krawców i płatnerza, czyli specjalistę od kucia pancerzy, szyszaków i mieczy. Specjaliści zamieszkali w baszcie, a dostęp do nich mieli tylko wójt i Makary. Pracowano całymi dniami i nocami w tajemnicy.

— Co oni tam mogą robić, ogień nocą widać na kilka kilometrów — mówili jedni.

— A ja wczoraj widziałem przez szparę w drzwiach, że krawcy szyją ogromny worek. Po co im taki worek i do tego z najcieńszego płótna wysmarowanego kozłowym łojem? — dziwował się jakiś pachołek.

— Co tam worek, posłuchalibyście lepiej tego kucia, które bez przerwy słychać. Fabrykę jaką tam otwarli, czy co? — dopytywali się inni.

Praca szła rzeczywiście pełną parą, bowiem dzielny rycerz postanowił w najbliższą sobotę uwolnić nieszczęśliwych mieszkańców „Drewnianego Osiedla" — od wszystkich kłopotów. Przewidywano rzeczy niezwykłe.

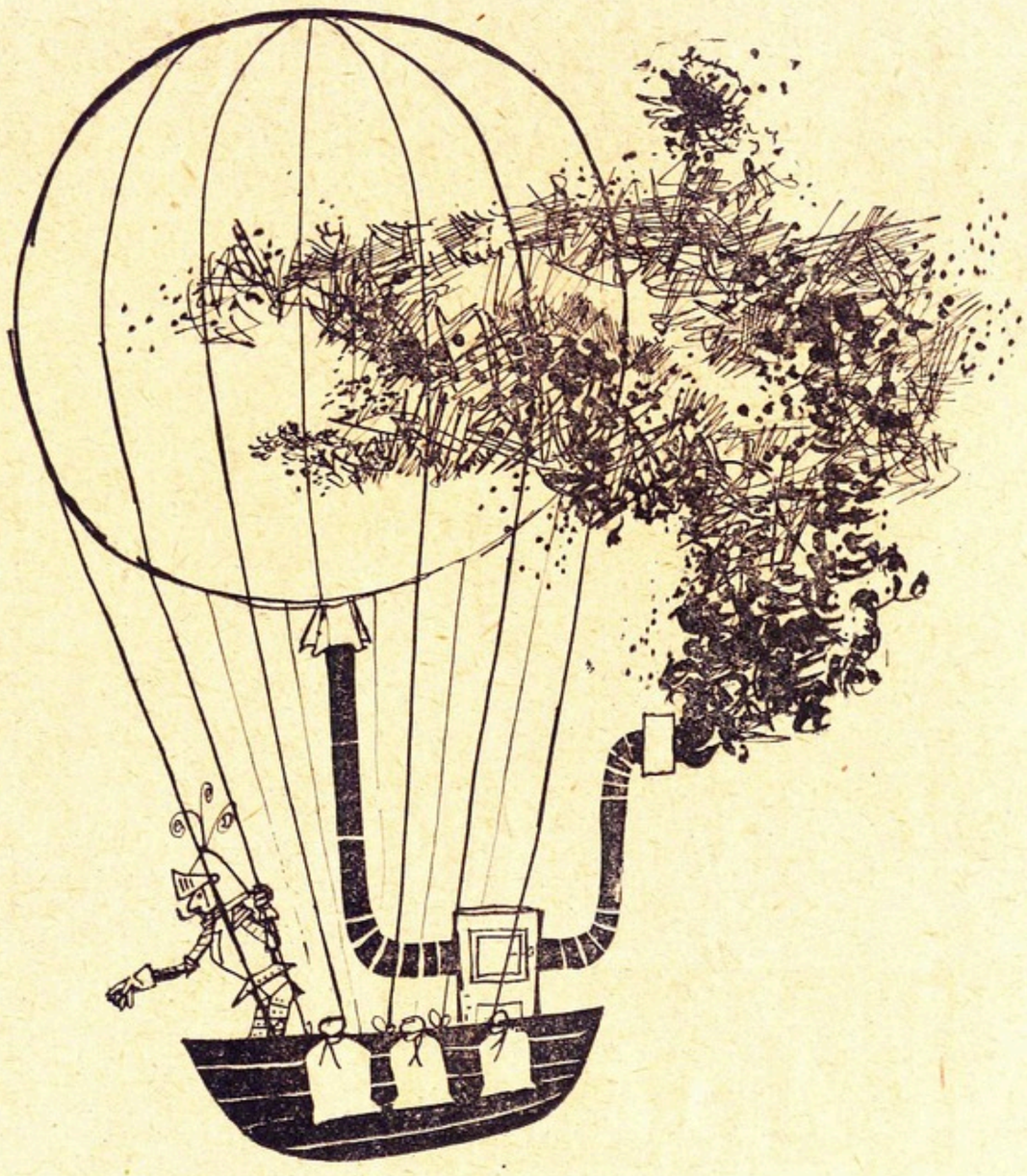

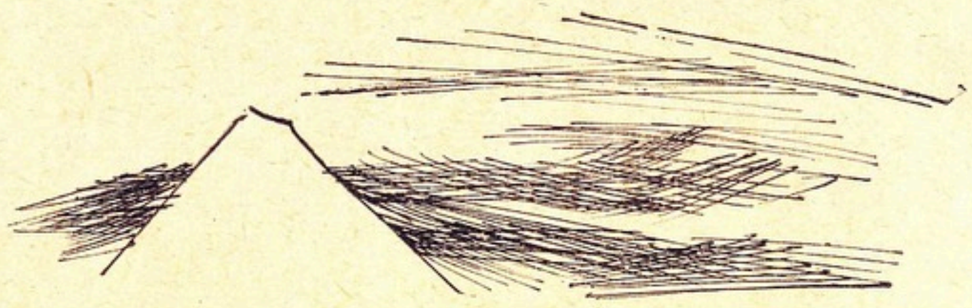

Wielka podróż dzielnego rycerza

I RZECZYWIŚCIE. W sobotę nastąpiło coś, czego nawet obdarzeni największą fantazją nie byli w stanie przewidzieć. Otóż, z samego rana, znad baszty zamkowej uniosła się w górę wielka, kolorowa kula! Pod nią, w czymś co przypominało łódź, bystrzejsi obserwatorzy zauważyli nieduży piecyk i dzielnego rycerza Makarego. Jego nowa, pozłacana zbroja migotała w porannym słońcu, gdyż jej właściciel uwijał się, jak tylko mógł. W każdym razie balon (tak, to był balon napędzany ciepłym powietrzem! Po to właśnie piecyk, do którego trzeba było bez przerwy dokładać) Makarego poszybował w kierunku Góry.

Teraz pozostały do zrobienia rzeczy najprostsze:

Po pierwsze: wygaszenie ognia pół kilometra przed celem.

Po drugie: przygotowanie kotwicy, czyli dziesięciokilogramowego ciężarka żelaznego na linie.

Po trzecie: wylądowanie dokładnie na samym szczycie Góry.

Po czwarte: umieszczenie tam tabliczki z napisem: „UPRASZA SIĘ NIE DEPTAĆ GÓRY, KTÓRA JEST WŁASNOŚCIĄ OSIEDLA. KTOKOLWIEK ODWAŻY SIĘ NA TO — TEN BĘDZIE MIAŁ ZE MNĄ DO CZYNIENIA!

RYCERZ MAKARY
z zamku

I to wszystko. Od tego czasu sława dzielnego rycerza wzrosła jeszcze bardziej. Nikt, oczywiście, nie śmiał przekroczyć jego zakazu. Znowu spokój zapanował w „Drewnianym Osiedlu" — a wieczorami wędrowni śpiewacy, siedząc przy ciepłych kominkach, śpiewali w całym kraju pieśń o Dzielnym Rycerzu Makarym.

Pomyśl pięć razy przed początkiem pracy,
A laur uwieńczy twe skronie.
I praca będzie zrobiona na cacy.
Tej dobrej rady słuchajcie rodacy,
Makary ją daje na koniec:
Pomyśl pięć razy przed początkiem pracy,
A laur uwieńczy twe skronie.

WYJAŚNIENIE AUTORA NA SKUTEK LICZNYCH LISTÓW OD CZYTELNIKÓW

Sądziłem, że tego nie trzeba wyjaśniać, a tu tymczasem piszecie mi, że to wszystko nieprawda, bo rycerz Makary, jako że był w zbroi — też chyba został przyciągnięty przez Górę.

A pomyślcie jeszcze trochę. No! Był w baszcie płatnerz? Był. Makary miał nową pozłacaną zbroję, która migotała w słońcu? Miał. A jak sądzicie: z czego zrobiono tę specjalną zbroję? No jasne! Oczywiście z miedzi. Makary, jako rycerz, nie mógł przecież wystąpić po cywilnemu, a miedzi magnes nie przyciąga! A może nie wiedzieliście o tym? (J. D.)

Zam. 1835. Z-34.

KAPELUSZ ZA STO TYSIĘCY

(Ciąg dalszy ze str. 6)

Naraz na ścieżce prowadzącej z domu do furtki ujrzałam znajomą sylwetkę. Nie chciałam wierzyć własnym oczom, lecz po chwili uwierzyłam. Ten sam elegancki garnitur, ta sama nieskazitelna koszula, ba, ten sam krawat i nawet ta sama przesadna wytworność w ruchach, a w ustach krótka angielska fajeczka. Słowem Goguś z Jantaru we własnej osobie. Nieba mi go zsyłają. Genialny facet, na zawołanie umie się rozpływać i zjawiać w nieoczekiwanym momencie. „Poczekaj, zaraz zahaczę cię o ten kapelusz" — pomyślałam.

Goguś tymczasem, jak gdyby nigdy nic, zbliżał się do furtki. Mina lordowska, w jednej ręce zwinięty parasol, w drugiej nowiutki kapelusz z popeliny, a w zębach wygasła fajka. Widocznie taki fason.

Zrobiłam bardzo poważną minę, a gdy się ze mną zrównał, zapytałam:

— Proszę pana, zdaje się, że to pan przez pomyłkę zamienił w kawiarni kapelusz?

Goguś stanął jak wryty. Najpierw spojrzał na mnie, potem na kapelusz, a potem wybąkał zdumiony:

— Ja?... W kawiarni?... Kapelusz?...

— W Jantarze, pół godziny temu.

— W Jantarze? — zrobił jeszcze pocieszniejszą minę.

— Przecież był pan w Jantarze i pomyłkowo zabrał pan z wieszaka inny kapelusz.

— Ty się chyba mylisz, moja droga.

— Bardzo przepraszam — powiedziałam poważnie, choć chciało mi się strasznie śmiać — ale ten pan, któremu pan zabrał kapelusz, prosił mnie, żebym pana zawiadomiła.

— To śmieszne — przerwał mi opryskliwie. — Po pierwsze nie byłem w Jantarze, a po drugie nikomu nie zabrałem kapelusza.

Miałem takie uczucie, jakbym dostała pałką w łeb i zobaczyła wszystkie gwiazdy z Gwiazdą Polarną na pierwszym planie.

— Tere, fere! zawołałam. — To pan kpi sobie ze mnie. Przecież widziałam na własne oczy. Pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

Zabiłam mu porządnego ćwieka, bo uśmiechnął się cierpko i wyjął fajeczkę z zębów.

— Panienko — powiedział z przekąsem — czego właściwie chcesz ode mnie?

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Gdy zobaczyłam że w fajce nie ma tytoniu, parsknęłam nagle śmiechem.

— Proszę odnieść kapelusz do Jantaru i oddać go kelnerce, bo właścicielowi bardzo na nim zależy.

Myślałam, że zblednie, zacznie się tłumaczyć, a on tymczasem wytwornym ruchem uniósł kapelusz do moich oczu:

— Śmieszne — powiedział. — Przecież to mój własny kapelusz. O proszę — wywrócił go dnem do góry i wskazał na skórzaną wkładkę. — Widzisz monogram?

Chwilowo nic nie widziałam, bo byłam bardzo przejęta, ale po chwili na wkładce zobaczyłam monogram W. K. wypisany czarnym tuszem.

— Koń by się uśmiał — prychnęłam. — To przecież może być monogram tamtego pana.

Goguś syknął zniecierpliwiony:

— W takim razie powiedz, jak się nazywa tamten pan?

— Niestety, nie wiem.

— Więc nie zawracaj mi głowy. — Ze złością trzepnął kapeluszem o kolano i włożył fajeczkę do ust. Był to znak, że nie chce ze mną dłużej dyskutować.

— Chyba pana duch był w Jantarze — powiedziałam, chociaż wcale powiedzieć nie chciałam.

Goguś wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył sprężystym krokiem w stronę ulicy Jana z Kolna.

Zbaraniałam, jeżeli człowiek w ogóle może zbaranieć. W głowie czułam zamęt. W uszach dźwięczały mi jeszcze słowa: „Po pierwsze nie byłem w Jantarze, a po drugie nie zabrałem nikomu kapelusza..."

Stałam chwilę jak sparaliżowana, wnet jednak ocknęłam się. Postanowiłam go śledzić. Gdy dobiegłam do rogu ulicy Jana z Kolna, nie ujrzałam już szarego garnituru, ani popelinowego kapelusza. Widocznie Goguś umiał się rozpływać w powietrzu.

(Cdn)

Rys. B. Rutkowska

Tekst – J. DĄBROWSKI
Rys. – M. TEODORCZYK

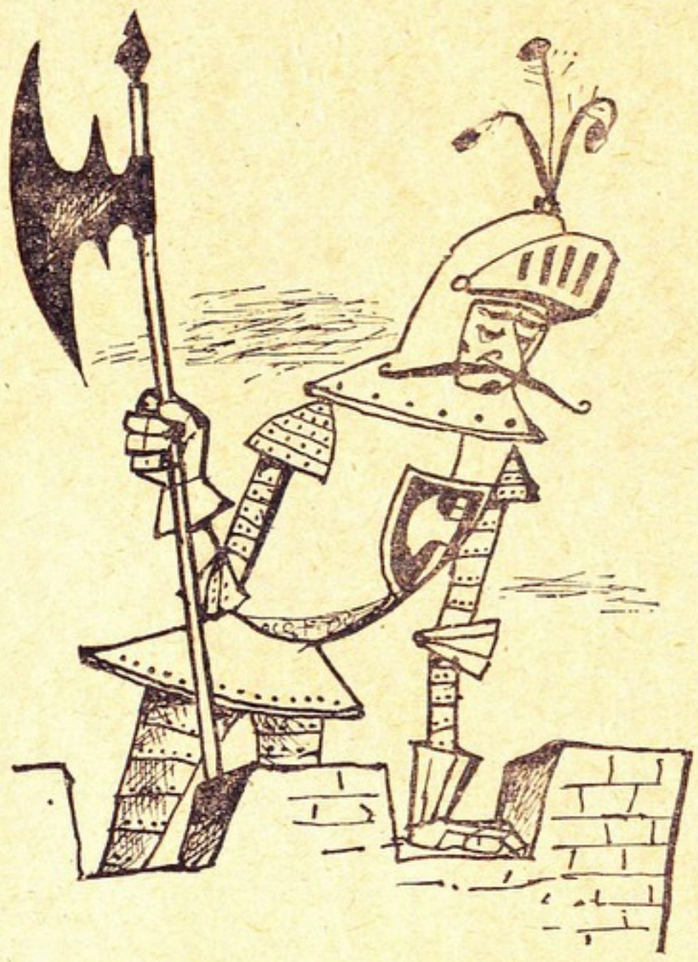

MAKARY I GÓRA

DZIELNY rycerz Makary, znany ze swoich niezwykłych przygód, wypoczywał właśnie w sali rycerskiej przed rozpalonym kominkiem, kiedy do zamkowej bramy zastukał człowiek ubrany w ciemną opończę z kapturem na głowie.

– Kto tam? – zapytano z murów, nie podnosząc jednak mostu zwodzonego, bo czasy były – jak zwykle – niepewne.

– Pilny posłaniec z wiadomością do wielmożnego rycerza Makarego – odpowiedziano spod bramy.

– A od kogo jest ta wiadomość? – niedowierzająco zapytała straż zamkowa.

– A od ludzi z „Drewnianego Osiedla“... I otwieraj, gżdylu zamazany jeden – bo mi szyja ścierpła od patrzenia w górę! – zakomunikował uprzejmie zakapturzony posłaniec.

– To jakiś swój człowiek – ucieszył się strażnik. – Już ci otwieramy. Trzeba było od tego zacząć!

I ciszę nocną rozdarł przeraźliwy brzęk łańcuchów. To spuszczano zwodzony most. Po chwili tajemniczy posłaniec stał już przed rycerzem Makarym.

Co kryła sakwa posłańca?

POKŁONIWSZY się stosownie do zwyczaju, człowiek ten bez słowa wyciągnął z sakwy podróżnej skórzaną flaszkę, nalał z niej czegoś do kubka i podał dzielnemu rycerzowi.

– Spróbuj, panie, tego paskudztwa i zapłacz nad naszym losem! – powiedział.

– „Truciciel. – Pomyślał Makary. – Ani chybi, to jakiś wariat. W kubku jest na pewno piorunująca trucizna, która za moment zwali mnie z nóg“.

Ale, ponieważ był dzielnym rycerzem, nie wypadało mu dyskutować nad zawartością kubka. Podniósł go więc w górę i powiedział z przyzwyczajenia: – Na zdrowie! – i...

– Najpierw, panie, powąchaj to świństwo i oceń ogrom nieszczęścia, które na nas spadło – oświadczył nagle zmartwiony posłaniec.

I kiedy Makary już miał podnieść kubek do nosa, coraz mniej z tego wszystkiego rozumiejąc – człowiek w opończy podskoczył ku niemu, wyrwał mu go z ręki i zawołał:

– Zaczniemy od czego innego, o szlachetny! – to mówiąc złapał ze stołu pusty kryształowy flakon i wlał do niego zawartość kubka. – Obejrzyj to panie z bliska i jeśli się nad nami nie ulitujesz – to serce twoje jest z kamienia.

A rzeczywiście było na co patrzeć. W wazonie, napełnionym do połowy brudną, rudego koloru cieczą, pływały dwie zdechłe rybki, pięć ukatrupionych pająków, jedna nieżywa kijanka, i kilka martwych much. A na dnie osiadło na grubość palca coś, co wyglądało jak szarorude płatki owsiane.

– I ja to miałem wypić? Co to jest? – wyjąkał w najwyższym zdumieniu dzielny rycerz, otrząsając się z obrzydzenia.

– To? To jest nasze nieszczęście, nasz palec losu, nasza przegrana – zawołał posłaniec. – To jest rdza z tych przeklętych zbroi, które zostawiają u podnóża góry ci idioci – błędni rycerze!

Straszna tragedia „Drewnianego Osiedla”

DOPIERO teraz posłaniec, który – jak się okazało – był wójtem „Drewnianego Osiedla“ – opowiedział wszystko po kolei. A wyglądało to mniej więcej tak:

– Jak wszystkim wiadomo, „Drewniane Osiedle“ leży u stóp Żelaznej Góry. Tak było zawsze i dlatego w całym osiedlu nigdy nie było ani kawałeczka żelaza, gdyż góra została kiedyś namagnesowana i wszystko przyciągała. Rycerze omijali ją, ponieważ zbroje przyklejały się do zboczy i żadnej porządnej wojny nie można było w pobliżu przeprowadzić. Ludność osiedla, ma się rozumieć, była z tego powodu bardzo szczęśliwa. Rycerze, którzy przyjeżdżali tam na wczasy, zostawiali zbroje i miecze w odległości kilku kilometrów. Niektórzy z nich tak zasmakowali w klimacie, że nigdy już nie powrócili na pola bitew.

Tak było do niedawna. Ale kilka lat temu jakiś dureń postanowił w pełnej zbroi, z ogromną żelazną tarczą i wielkim mieczem wdrapać się na sam wierzchołek góry.

Pomijając fakt, że Góra jest nierdzewna i w związku z tym śliska jak lustro, ale przecież – mówiono nieszczęśnikowi – przylepisz się do niej jak mucha do lepu!

Nic nie pomogło. Rycerz rozpędził się i... musiano go potem wyciągać ze zbroi jak sardynkę z puszki. Samej zbroi, tarczy i miecza nawet ruszyć nie można było.

I od tego się zaczęło. Coraz to nowi błędni rycerze próbują wyleźć na wierzchołek. Skończył się nasz spokój. Całymi dniami słychać bojowe okrzyki i zaraz potem wołania o pomoc. Setki zbroi zalega już podnóże Góry. I to jest nasza największa tragedia. Deszcze powodują rdzewienie tej masy żelastwa. Nie możemy go ruszyć z miejsca, nie mówiąc już o wywiezieniu. Rdza spływa do naszych rzek, studni, stawów. Zdychają ryby, uciekają zwierzęta, odlatują ptaki. Tak piękna niegdyś okolica zamienia się powoli w rudą pustynię.

A próbkę wody przedstawiłem do łaskawego wglądu przed chwilą. Ratuj nas, panie, którego mądrość znana jest daleko i szeroko. Jeśli ty nam nie pomożesz, to będziemy musieli się przeprowadzić gdzie indziej, a wiesz, co znaczy przeprowadzka w dzisiejszych niespokojnych czasach – zakończył swoje opowiadanie wójt „Drewnianego Osiedla“.

Cisza w zamku! – Makary myśli

OD TEJ PAMIĘTNEJ wizyty cały rozkład dnia w zamku został wywrócony do góry nogami. Dzielny rycerz od rana do nocy siedział w bibliotece, grzebał w starych księgach, i myślał, myślał, myślał... Żeby mu nie przeszkodzić zarządzający zamkiem wydał wszystkim bambosze na grubej filcowej podeszwie. Zrobiło się cicho jak w muzeum. Zaczęto więc rozmawiać szeptem. Zatrzymano wszystkie bijące zegary, naoliwiono skrzypiące bramy i most

(Dalszy ciąg na str. 5)

Adam Bahdaj (3)

BYŁAM ogromnie ciekawa, jaką minę zrobi Goguś, gdy mu powiem, że zabrał cudzy kapelusz. Niestety, nie zobaczyłam jego miny, bo Goguś rozpłynął się w mglistym powietrzu. Pobiegłam do rogu ulicy Jana z Kolna, potem sto kroków w lewo, zawróciłam – sto kroków w prawo. Nic, tylko pustka i deszcz, a w deszczu ja z miną rozczarowaną i z mokrą głową jak wariatka.

Zniechęcona zawróciłam do kawiarni. W progu czekał już na mnie łysy jegomość. Nerwowo przecierał szkła okularów i mrużył krótkowzroczne oczy. Twarz miał okrągłą jak dobroduszny księżulo, oczy ciemne i kartoflowaty nos lekko na bakier.

– Ale zmokłaś, moja panno – przywitał mnie z daleka. – Mówiłem, że nie warto.

– To głupstwo... I proszę się nie przejmować, bo dobrze sobie zapamiętałam tego pana.

Jegomość założył okulary.

– Jesteś bardzo uprzejma. Sądzę jednak, że to zwykła pomyłka, a ów pan, gdy się tylko zorientuje, odniesie kapelusz do kawiarni.

– I mnie się tak zdaje – powiedziałam. – Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie. Kapelusze były przecież identyczne.

– Skąd wiesz?

– Mam wyrobione oko. Jestem pewna, że miały nawet ten sam numer. Proszę zmierzyć.

Jegomość patrzył na mnie z niedowierzaniem. Wolnym ruchem przykrył łysinę.

– Jak ulał – powiedział zdziwiony. – Ty rzeczywiście masz wspaniałe oko.

– Ba – uśmiechnęłam się tajemniczo. – Gdyby pan wiedział z kim ma do czynienia, to by się pan tak nie dziwił.

Jegomość zmrużył porozumiewawczo oko.

– Jestem ogromnie ciekaw.

– Szef gangu – dodałam szeptem.

Jegomościa zamurowało. Szczęka mu opadła, oczy zaokrągliły się z wrażenia, i nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili zamiast coś powiedzieć, roześmiał się – ni w pięć ni w dziewięć. Zatarł pulchne, obsypane rudawym włosem dłonie:

– To pięknie, że jesteś szefem gangu. Pomożesz mi odnaleźć kapelusz.

– Przecież ten leży jak ulał.

Jegomość zdjął kapelusz, obracał go w dłoniach i przyglądał mu się uważnie.

– Tak – rzekł w zamyśleniu – leży jak ulał, a jednak nigdy bym się nie zamienił.

– Nie rozumiem, przecież...

– Nie warto zastanawiać się nad tym – przerwał mi. – Mam nadzieję, że ten człowiek odniesie mój kapelusz do kawiarni, a ten zostawię tymczasem u kelnerki. Bądź zdrowa, szefie gangu! Dziękuję ci serdecznie. Byłaś naprawdę bardzo miła i uprzejma. A gdybyś przypadkiem spotkała tego pana, to powiedz mu, że jego kapelusz jest w Jantarze.

Może pana duch był w Jantarze?

DZIWAK. Kapelusz leży na jego łysinie jak ulał, a on mówi, że „nigdy by się nie zamienił!” I jeszcze śmieje się ze mnie. A w ogóle, co mnie obchodzi jego kapelusz.

Spojrzałam na zegarek. Była dwunasta. W „Ustroniu” obiad podają dopiero o drugiej. Miałam dwie godziny przed sobą. Postanowiłam podziwiać naturę. Szłam wolno ulicą Jana z Kolna. Była to ulica starych willi i zacisznych domków. Minęłam miejscowe boisko, potem zobaczyłam tabliczkę z napisem – ŻART i zachciało mi się śmiać.

Uliczka była wąska, wysypana czystym żwirem. Wyglądała jak tunel wydrążony w żywej zieleni drzew i krzewów. Z lewej strony ciągnął się niski mur, z prawej, poza ogrodzeniem z drucianej siatki, pod koronami wysokich jesionów widać było dach z czerwonej dachówki, a w głębi zabudowania gospodarskie. Między domem a zabudowaniami ciągnął się ogród. Kilka karłowatych jabłonek, zdziczałe krzewy agrestu. Zarośnięte klomby i grządki tonęły w dżungli chwastów.

Bardzo lubiłam takie małe uliczki i takie zapuszczone ogrody. Było w nich coś smętnego, tajemniczego. Skręciłam w ulicę Żart z takim uczuciem, jakby za chwilę miało się stać coś bardzo dziwnego.

(Dalszy ciąg na str. 5)